

Jego prezydentura miała być niczym „koniec świata”

24 listopada 2017

Gdy Donald Trump ogłosił, że ma zamiar wystartować w wyborach prezydenckich mało kto potraktował to poważnie. W końcu nowojorski milioner już kilkakrotnie nosił się z tym pomysłem i nigdy nie wynikło z tego nic konkretnego. Tym razem wprawdzie poszedł o krok dalej i faktycznie wystartował w wyborach, jednak większość komentatorów potraktowała to jako co najwyżej formę autopromocji. Nikt nie spodziewał się, że nie tylko zdobędzie nominację Republikanów, ale też pokona Hillary Clinton, kobietę, która poświęciła całe życie karierze politycznej. Niedawno minął rok od tamtych wyborów. Co udało mu się w tym czasie osiągnąć?

Przede wszystkim udało mu się zdefiniować jako politykowi. Trump był początkowo wielką niewiadomą. W swoim życiu sympatyzował z kilkoma różnymi partiami, przyjaźnił się zarówno z politykami Republikanów jak i Demokratów, chociażby z małżeństwem Clintonów. Wywnioskowanie czegokolwiek z jego wypowiedzi publicznych również było trudne, gdyż często przeczyły sobie nawzajem. W trakcie kampanii zaczął prezentować się jako prawicowy radykał, jednak nie wszyscy mu wierzyli. Popularna była teoria, że zdobył nominację tylko po to, aby skompromitować się w trakcie kampanii wyborczej i oddać w ten sposób zwycięstwo Hillary. Druga strona obawiała się natomiast, że Trump po zdobyciu Białego Domu zostanie fanatykiem, który będzie zamykał członków mniejszości etnicznych w obozach i leczył homoseksualistów prądem.

Pierwszy rok w Białym Domu pokazał, że obie strony się myliły. Trump udowodnił, że wartości wyznawane przez prawicę są mu bliskie. Rzecz w USA nie tak znowu oczywista. W amerykańskiej polityce panuje przekonanie, że polityk, szczególnie prezydent, powinien być wolny od ideologii. Że powinien być

pragmatykiem, który swobodnie czerpie z rozwiązań z obu stron barykady, patrząc tylko i wyłącznie na ich skuteczność. I od czasów Busha seniora faktycznie tak było. Rządy Clintona nie różniły się istotnie od rządów Busha, a rządy Busha juniora – od rządów Clintona. Nawet Obama, który przecież szedł po władzę pod hasłem Zmiany, wpadł w ten schemat i tuż po objęciu urzędu powiedział dziennikarzom, że ma zamiar czerpać zarówno z myśli politycznej Roosevelta jak i Reagana. Trump zerwał z tym sposobem myślenia – i może nie w stopniu, którego życzyliby sobie jego wyborcy, został prezydentem prawicy. Z drugiej strony pokazał, że nie jest niezdolnym do kompromisu fanatykiem, jak obawiała się tego lewica.

KONIEC WOJNY DOMOWEJ

Udało mu się także w znacznym stopniu odbudować stosunki z GOPowskim establishmentem. Chyba żaden inny prezydent w historii nie miał aż takich kłopotów ze swoją partią. Gdy w trakcie prawyborów zaczęło być jasne, że ma realne szanse na zdobycie nominacji, to wielu prawicowych polityków wpadło w panikę i zaczęło mówić publicznie, że każdy inny kandydat będzie lepszy od niego. Wieszczono, że zdobycie przez niego nominacji będzie końcem GOPu i że już lepiej, jak wygra Clinton. O ile takie ataki partyjnego establishmentu na kandydata-outsidera w trakcie prawyborów jakoś szczególnie nie dziwią, o tyle ich kontynuowanie po zdobyciu nominacji było już kuriozalne. Ale chociaż dziś stosunki pomiędzy partią a Białym Domem są nadal dalekie od ideału, to po dawnej wrogości nie ma już praktycznie śladu.

Trump udowodnił też, że pomimo braku doświadczenia politycznego – stanowisko prezydenta to pierwsze stanowisko państwowe jakie zajął – całkiem nieźle sobie radzi z nawigowaniem po waszyngtońskim bagnie. Najlepszym przykładem jest tutaj sprawa Obamacare. Ta ustawa miała w założeniu sprawić, że ubezpieczenia medyczne stanieją – a spowodowała, że po wycofaniu się części ubezpieczycieli z rynku pozostali znacznie podnieśli ceny.

Trump zapowiadał już w trakcie kampanii, że ją zlikwiduje i zdaniem niektórych analityków właśnie to zadecydowało o jego zwycięstwie. Jednak realizacja tej obietnicy okazała się trudna, głównie z powodu tego, że kongresowi Republikanie, bez których nie da się zmienić istniejącego prawa, nie mogą się dogadać co do tego czym ją zastąpić. W październiku Trump podpisał więc rozkaz prezydencki, który przedłużył okres tymczasowych ubezpieczeń na zdrowie – które z założenia miały zapewniać podstawową opiekę bezrobotnym – do roku. Oznacza to, że młodzi i zdrowi Amerykanie mogą całkowicie zrezygnować z drogiego obowiązkowego ubezpieczenia na rzecz znacznie tańszego odpowiednika. Zmniejszy to zyski ubezpieczalni i po raz kolejny zmusi do podniesienia cen. I teraz Republikanie mają konkretną zachętę do poważnego zajęcia się tematem gdyż coraz większy kryzys w służbie zdrowia sprawi, że wyborcy będą źli właśnie na nich i na ich beczynność w tym temacie.

OPOZYCJA TOTALNA

Jednak należy zauważyć, że Trump jak na razie nie zrealizował żadnej ze swych zapowiedzi wyborczych, przynajmniej jeśli chodzi o te główne. Oczywiście rok – a dokładniej niecałe 10 miesięcy, bo przecież zaczął rządzić dopiero 20 stycznia – to nie jest tak wiele czasu na wprowadzenie rewolucyjnych zmian. Ale powodem jego opieszałości jest również postawa demokratycznej opozycji, która nie jest w najmniejszym stopniu skłonna do kompromisu i wykorzystuje każdą możliwość aby mu przeszkodzić. Jego moratorium na wydawanie wiz mieszkańcom państw o dużym zagrożeniu terroryzmem stało się powodem wściekłych ataków lewicy i zostało dwukrotnie zablokowane przy użyciu sądów – chociaż listę państw, które powinny być nim objęte, przygotowali jeszcze ludzie Obamy. Potwierdzenie niemal każdej jego nominacji to była prawdziwa walka i zazwyczaj udawało się tylko dzięki temu, że Republikanie mają niewielką przewagę w Senacie. Podobnie jest z niemal każdą ustawą, którą zaproponował lub popiera Trump. Wiceprezydent Pence już pięciokrotnie musiał udać się na Capitoll Hill aby –

jako formalny przewodniczący senatu – rozstrzygnąć remis.

Taka postawa opozycji paradoksalnie może wyjść mu na dobre. Bo Trump potrafił w swoich zwolennikach rozbudzić nadzieję, której w żaden realny sposób nie da się spełnić. Obiektywna przeszkoda, jaką jest postawa opozycji, da mu więc wymówkę gdy wyborcy zapytają dlaczego America nie jest jeszcze Great. I postawi Demokratów w niewygodnej pozycji obrońców tego, co było – nawet jeśli to, co było, się większości Amerykanów nie podoba.

Zwycięstwo Trumpa wywołało wśród Demokratów prawdziwy szok. Nic w tym dziwnego – nawet zwolennicy prawicy myśleli, że wygra Clinton. Partia wpadła w kryzys i jak na razie nie widać, aby miała z niego wyjść. Nie potrafią ustalić wspólnej polityki, nie potrafią wyznaczyć sobie nowego kierunku. A do tego przez wewnętrzne niesnaski wiele partyjnych brudów wychodzi na światło dzienne. Donna Brazile, która służyła jako tymczasowa szefowa DNC (formalnych władz partii) wyda niedługo książkę o kampanii – i z opublikowanych już fragmentów wynika, że Clinton podczas kampanii praktycznie kupiła sobie partię. I tak dalej. Nie dziwi więc nadmiernie fakt, że w niedawnym sondażu CNN zaledwie 37% amerykańców wyraziło pozytywną opinię o Demokratach – co jest najgorszym wynikiem od ćwierćwiecza.

Ta wywołana przez Trumpa słabość Demokratów to da amerykańskiej prawicy dobra wiadomość. Daje bowiem nadzieję, że w licznych wyborach, które odbędą się w przyszłym roku, nie stracą wiele a mogą wręcz zyskać. Ale i tutaj czai się zagrożenie. Clinton była twarzą umiarkowanej, centrowej frakcji Demokratów – i jej porażka sprawiła, że coraz śmielej odzywają się partyjni radykałowie. Taka radykalizacja nie jest niczym niezwykłym, z identycznym zjawiskiem mamy do czynienia u Republikanów – ale u Demokratów zdaje się postępować dużo szybciej. I być może już wkrótce Trump będzie musiał zmierzyć się z inną, dużo bardziej ideową i nie tak skompromitowaną opozycją.

LUNGENPRESSE

Nie da się pisać o Trumpie nie wspominając o jego konflikcie z mediami. Amerykańskie media od dawna były skrzywione na lewo, ale to jak potraktowały Trumpa przekracza wszelkie granice. Żaden polityk od dawna nie był tak krytykowany jak on. Magazyn Time odkrył w maju, że podczas deserów w Białym Domu Trump dostaje dwie kulki lodów podczas gdy inni dostają jedną – i nawet to stało się powodem ostrej krytyki.

Trump postanowił podjąć rękawicę i traktuje dziennikarzy wyjątkowo ostro, łącznie z mówieniem im prosto w oczy na konferencjach prasowych, że rozpuszczają o nim fałszywe informacje. Kilka razy powiedział także, że dziennikarze są wrogami narodu amerykańskiego. I zdaje się, że wygrywa w tej wojnie: jego popularność utrzymuje się na mniej więcej jednakowym poziomie (według najnowszego dostępnego sondażu 93% jego wyborców zagłosowałoby na niego ponownie), podczas gdy media są w coraz gorszej sytuacji. Szczególnie jego główny wróg, CNN, którego wiarygodność leci spektakularnie w dół.

Innym leitmotivem pierwszego roku prezydentury jest kwestia rosyjska. Demokraci i przedstawiciele amerykańskich służb forsowali teorię, że Kreml wpłynął na wyniki wyborów, gdyż chciał, żeby Trump został prezydentem. Jednak pomimo tego, że minął już rok, a w badanie tych wpływów zainwestowano spore środki, to jak na razie nie przedstawiono żadnego dowodu na to, że ta ingerencja w ogóle miała miejsce poza incydentami, które mają miejsce podczas praktycznie każdego wyborów. Czas tutaj działa na jego korzyść – Amerykanie są coraz bardziej zmęczeni tą histerią i coraz słabiej działają oskarżenia o współpracę z Kremlem jeżeli nie idą za nimi twarde dowody. Tym bardziej, że w tle coraz bardziej rozwija się inny skandal z Rosją w tle – sprawa Uranium One. A zamieszani są w niego nie tylko czołowi Demokraci, ale i Mueller, przewodniczący komisji badającej sprawę Trumpa. Już wkrótce ten skandal przyćmi oskarżenia pod adresem Trumpa i skompromituje osoby, które najgłośniej krzyczą „łapać złodzieja!”.

Amerykańska prawica jest nastawiona w dużym stopniu izolacjonistycznie i Trump podczas kampanii nieraz puszczał do nich oko, że za jego rządów taka właśnie będzie polityka zagraniczna USA. Dziś możemy już stwierdzić, że na szczęście oszukał tutaj własnych wyborców i USA nadal gra globalnie. Jednak w przeciwieństwie do Obamy Trump podejmuje decyzje patrząc głównie na interes USA. Stąd na przykład wycofanie się z Porozumienia Paryskiego, którego niekorzystne warunki wynegocjowane przez Obamę hamowały amerykański przemysł, czy też groźba likwidacji NAFTA.

Trump przeorientował również wektory strategiczne. Poszedł na konfrontację z państwami starej Unii i zdaje się stawiać na sojusz z Europą Środkową – w tym Polską – i wschodnią, licząc że będzie stanowić przeciwwagę dla Rosji z jednej i Niemiec z drugiej strony, a także chłonny rynek i dostarczyciela taniej siły roboczej. Oczywiście poniekąd jest to wynik postawy zachodnioeuropejskich polityków i społeczeństw. Wielu liderów Zachodu krytykowało go podczas wyborów w stopniu, który przekracza wszelkie granice, a organizacja wizyty zagranicznej to niemal zawsze ogromne ryzyko protestów – niechęć zachodu do Trumpa jest namacalna i wpycha go w objęcia wschodu. A on po prostu gra takimi kartami jakie dostał.

Przed Trumpem jeszcze minimum trzy lata rządów. Przyszły rok może być dla nich kluczowy, gdyż po wyborach do Kongresu sytuacja polityczna USA może się całkowicie zmienić, niekoniecznie na lepszą dla niego. Ale pierwszy rok pokazuje, że jego rządy nie są tak złe jak chcieliby je widzieć jego przeciwnicy – ani aż tak dobre jak sugerują to jego zwolennicy.

Autorstwo: Wiktor Młynarz

Źródło: Stefczyk.info